Rozdział I

W czasie gdy rozgrywały się te wydarzenia, wojna wypchnęła mnie daleko poza okolice, w których mieszkałem. Na naszej ziemi walczyły wtedy dwie straszliwe armie prowadzące krwawą wojnę, która większości mieszkańców wydawała się bezkresna i była, jak nietrudno sobie wyobrazić, barbarzyńska i wyniszczająca. Wobec żądań jednej z tych armii, niesytej zasobów ludzkich i materialnych (agresor wycofywał się pomału, przemierzając kraj pod naporem tej drugiej, zwanej wyzwoleńczą), niezależnie od nastrojów patriotycznych i kompromisu politycznego, przez całe miesiące i lata wielu mężczyzn zmuszonych było szukać schronienia w miejscach bezludnych i na uboczu głównych dróg, porzuciwszy własne sprawy, a nawet rodziny. Tam, gdzie jedni, mający takie możliwości lub czujący się na siłach, zorganizowali opór zbrojny lub wręcz zdolni byli przypuścić atak, drudzy stawili bierny opór najeźdźcom, a jeszcze inni zatroszczyli się tylko o to, by trzymać się z daleka od rejonu starć.

Skoro, jak mówię, należałem do jednej z tych kategorii, przez długi czas prowadziłem życie banity, a raczej, jeśli weźmiemy pod uwagę, że trafiałem na mniej lub bardziej niedostępne miejsca, życie nieustannie tropionego zbójcy. Wielu ludzi dzieliło ze mną ten los i stosownie do okoliczności odłączałem się od nich lub do nich dołączałem, ale w końcu został mi tylko jeden towarzysz, z którym zapuściliśmy się w głąb górzystej okolicy, stosunkowo nieodległej od tak zwanego cywilizowanego świata, a jednak niezwykle dzikiej. Tam też pewnego dnia późną jesienią postanowiliśmy wbrew chęciom rozdzielić się, ale tylko do zapadnięcia nocy. Rozstaliśmy się zatem w gęstym lesie po uprzednim ustaleniu miejsca ponownego spotkania; doniesiono nam bowiem, że duży oddział zbrojny prowadzi na niżej położonych zboczach przymusowy pobór do wojska. Do naszego spotkania nigdy już jednak nie doszło.

Cały ranek spędziłem w lesie; około południa gwałtowny deszcz nakazał mi poszukać jakiegoś schronienia, domu albo chaty, choćby opuszczonej lub niezamieszkanej. Niemniej zaledwie wyszedłem spomiędzy drzew, natknąłem się na duży patrol, który zapuścił się tak wysoko w poszukiwaniu dekowników; żołnierze kazali mi się zatrzymać, a gdy nie usłuchałem, posłali w moją stronę serię z karabinów. Musiałem pośpiesznie zawrócić: miałem nadzieję, że nie odważą zapędzić się w bądź co bądź nieznany im las. Ale niebawem usłyszałem trzaskające im pod nogami gałązki: tropili mnie. Zmuszony tym samym do biegu w wyżej położone regiony przez góry, wkrótce zacząłem coraz głębiej wdzierać się w potężny górski masyw. Daremnie zataczałem szerokie i męczące kręgi, usiłując zmylić pogoń, a zarazem nie oddalić się za bardzo od miejsca nocnego spotkania; oni zaś, rozwinąwszy się w tyralierę, wykorzystywali przewagę liczebną nade mną, nie mówiąc o tym, że nie mogłem się im pokazać, bo ryzykowałbym życiem; dostrzegałem też inne patrole, które wprawdzie nieumyślnie, ale często przecinały mi drogę. Żołnierze zakończyli polowanie dopiero tuż przed zachodem słońca.

Byłem chwilowo ocalony, ale za daleko już odbiegłem, zapadał zmrok, zmrok zapłakany. Postanowiłem spędzić tam noc i wyobraźni czytelnika pozostawiam rozstrzygnięcie, jak ją spędziłem na wysokości tysiąca pięciuset metrów, przemoczony do suchej nitki, z resztkami żywności, bez żadnego schronienia. Mimo to przetrwałem, o świcie zaś lodowaty wiatr wyrwał mnie z krótkiej drzemki.

Nie miałem już nadziei na odnalezienie towarzysza; wiedziałem, że ubiegłej nocy musiał wielokrotnie się przemieszczać; nic zatem nie wzywało mnie do umówionego miejsca, a wypadki poprzedniego dnia powinny mnie nawet były trzymać od niego z daleka. Lustrowałem okolicę z wysoka i wydało mi się, że w okazałym masywie nieznanych mi gór dostrzegam dolinę, która mogła być zamieszkana, a zarazem z uwagi na odległe położenie nie za bardzo nękana przez gnębicieli. Właśnie tam

postanowiłem dotrzeć. Niestety, nie zszedłem jeszcze do podnóża góry, gdy ujrzałem patrol, który wprawdzie mnie nie widział, ale zmierzał prosto w moją stronę. Musiałem go uniknąć, a także uniknąć drugiego, a potem kolejnych, i cały dzień upłynął mi na czatach i na ucieczkach, toteż nawet nie zdołałem zbliżyć się do wyznaczonego sobie celu. Skromny prowiant się skończył i dokuczało mi zmęczenie: postanowiłem za wszelką cenę stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu, byleby dotrzeć do jakiegoś zamieszkanego miejsca i skorzystać z gasnącego dziennego światła. Zacząłem schodzić, trzymając się jak najbliżej zarośli.

Znajdowałem się w miejscu przypominającym urwisty i szeroki parów, który prowadził niemal od samego wierzchołka góry, prawie w linii prostej, na płaskowzgórze rozciągające się tysiąc metrów poniżej; ściany wąwozu były porośnięte gęstymi krzewami. Choć znajdowałem się w owej chwili w tak nędznym położeniu, nigdy nie zapomniałem dzikiej urody tego miejsca, a zarazem mrocznego uroku i mrocznej grozy, którymi ono tchnęło; bez wątpienia miały w tym swój udział moje napięte nerwy.

Zszedłem do połowy wąwozu i przystanąłem niepewnie: na przekór wcześniejszej stanowczości musiałem sobie uświadomić, że jeśli jeszcze za dnia dotrę na dno doliny, niemal na pewno wpadnę prosto w ręce wroga, gdyż patrole zwykle biwakowały poza obozowiskiem w najbardziej przystępnych górskich rejonach. A jeśli zaskoczy mnie noc, nie zdołam znaleźć drogi w tych całkiem nieznanych mi okolicach ani tym bardziej zapewnić sobie niezbędnej gościny. Wąwóz był teraz prawie niedostępny: wielkie skały, płaskie i śliskie, zawieszone jedne nad drugimi na dużych wysokościach, kryły się w gęstej roślinności porastającej rozpadliny.

Kiedy tak smętnie naradzałem się z samym sobą, mój wzrok padł na coś, co można było uznać za ścieżkę lub przecinkę, która biegła ukosem przez wąwóz, po czym pięła się ponownie w górę i okrążała oba grzbiety, prawy i lewy. Dotarłszy tam, ujrzałem ledwie dostrzegalną dróżkę dla pasterzy, w zasadzie

zdradzały ją jedynie widniejące tu i ówdzie ślady kozich kopyt. Mimo to postanowiłem nią podążyć: dzięki temu nie musiałbym zejść niżej i dotarłbym zapewne do jakiejś chaty. Pozostawało mi tylko wybrać kierunek; zdając się na przypadek, poszedłem w lewo. Wspiąłem się znów na zbocze, dotarłem na szczyt. I tu czekał mnie najprzyjemniejszy widok, jakiego mogłem się w podobnych okolicznościach spodziewać. To, czego szukałem z tak nikłą nadzieją, widniało u moich stóp, w odległości kilku strzałów z karabinu: stał tam dom! Z komina, w wilgotnym i mglistym powietrzu dobywał się dym rozwiewany przez wiatr, może sam w sobie dosyć smętny, ale wtedy wydał mi się nader radosny. Serce zabiło mi mocniej, ruszyłem ku opatrznościowej siedzibie.

Dom stał na niewielkim wypłaszczeniu, jakby tarasie; z każdej strony otaczały go górskie grzbiety lub wzniesienia, wypiętrzone w miejscu zbiegu dwóch lub trzech masywnych zboczy. Opasany przyległymi budynkami, wydawał się duży i godny, wyglądał raczej na pańską siedzibę lub dwór niż na gospodarstwo. Z pewnością znalazłbym tam schronienie i strawę, jeśli udzielono by mi tego dobrodziejstwa.

Gdy minęło pierwsze uniesienie, a ja pokonywałem tę niewielką odległość, naszły mnie poważne wątpliwości. Wprawdzie w tamtym czasie ludzie mieli zwyczaj na wszelkie sposoby wspomagać włóczęgów, w każdym z nich upatrując ściganego patriotę, ale nie ulegało wątpliwości, że ten zwyczaj wiązał się dla nich z poważnym ryzykiem. Czy zatem obcy człowiek, tak bardzo niewzbudzający zaufania jak ja, uzbrojony, zarośnięty, ubłocony, o zdziczałym wyglądzie, mógł mieć nadzieję, że zostanie przyjęty w domu zagubionym w górach, nocną porą? Podczas gdy w okolicy roiło się nie tylko od partyzantów, ale też od wszelkiej maści rzezimieszków, szpiegów i zdrajców? Jeśli dom, co wydawało się prawdopodobne, był zamieszkany tylko przez starców i kobiety (ta część ludności miała jakieś szanse uniknięcia przynajmniej niektórych aktów przemocy ze strony najeźdźców i mogła podjąć ryzyko pozostania w rodzinnej

siedzibie), to czy ci bezbronni mieszkańcy nie pozamykaliby drzwi na wszystkie spusty, zamiast otworzyć przede mną podwoje? Tym bardziej że byłem sam i byłoby mi trudno wejść do środka przemocą?

Wyszedłem z zarośli, gotów wzbudzić w nich litość, kimkolwiek by się okazali, i pośpiesznie pokonałem krótki odcinek drogi, wiodący przez niegdyś uprawną ziemię, potem przeszedłem przez sad jabłoni czy też ogród otaczający dom. Spodziewałem się ujrzeć kogoś, do kogo mógłbym się odezwać, ale wszędzie królowała pustka, nie było widać żadnych istot ludzkich ani zwierząt domowych. Psy w tych okolicach były szczególnie hałaśliwe i dziwiłem się, że tu nie ma żadnego, który chciałby się na mnie rzucić. Zmierzch niemal ustąpił już ciemności i z trudem dostrzegałem cokolwiek: być może mieszkańcy domu zamknęli się na noc wraz ze zwierzętami. Nie dobiegał mnie żaden dźwięk także z budynków przyległych, ze stajni, szopy czy stodoły, które teraz obchodziłem; a jednak dom był z pewnością zamieszkany, jak tego dowiódł dostrzeżony przed kwadransem dym.

Dotarłem do budynku od frontu; sina fasada wznosiła się w brunatnym powietrzu; podwójne schody prowadziły na duży taras, na który wychodziły też reprezentacyjne drzwi. Na kamiennej balustradzie można było dostrzec kilka piramid i kamiennych kul, jakie przed trzema lub czterema stuleciami zdobiły niemal każdą szlachecką siedzibę w tych okolicach. Na tarasie widniały kępki pokrzyw oraz innych chwastów, rosnących w szczelinach między płytami, a na murze przy drzwiach wejściowych spory ubytek po odpadłym tynku. Słowem, na pierwszy rzut oka dom sprawiał wrażenie zaniedbanego.

Znikąd nie dobywało się światło; nasłuchiwałem przez dobrą chwilę, ale nie dobiegł mnie żaden dźwięk. Nawet idące od gór wytłumione odgłosy nagle ucichły. Wezbrane w odległej dolinie wody, których szmer przez cały dzień rozbrzmiewał mi w uszach, też musiały całkowicie spłynąć; lejący od rana deszcz właśnie ustał i cała natura zastygła w jednej z tych

niezwykłych chwil zawieszenia, kiedy każda rzecz wydaje się trwać w szlachetnej i groźnej równowadze.

Głęboka i żałobna cisza zaczynała drażnić moje już i tak zszargane nerwy. Dopiero teraz odkryłem okratowane okno na parterze, niedaleko drzwi, zupełnie ciemne. Postanowiłem zawołać: mój głos rozbrzmiał bez echa w pustce, nie doczekałem odpowiedzi. Po wielu takich próbach zdecydowanym gestem ująłem masywną kołatkę i z całej siły nią zastukałem: z trzewi domu dobył się posępny i głuchy dźwięk, aż przejęły mnie dreszcze, ale nie odniósł żadnego innego skutku. Stosownie odczekałem dobrą chwilę i zwielokrotniłem uderzenia z narastającą gwałtownością: bez większego rezultatu. Co było zresztą do przewidzenia, ponieważ w owych czasach człowiek, który miałby dobre zamiary, nie obwieszczałby przybycia w ten zwyczajowy sposób; skoro mieszkańcy nie reagowali na moje ponawiane wołania, tym bardziej nie uczyniliby tego teraz, kiedy łomotałem do ich drzwi. Wyznam jednak, że ogarnął mnie wtedy jakiś niedorzeczny i nieokreślony strach, który na przekór mojemu niezbyt wesołemu położeniu zaprawiony był ciekawością. Musiałem nie tylko zapewnić sobie niezbędną gościnę, ale też jakoś zakończyć całą tę historię.